

11 października NFM przygotowało mi i wielu innym melomanom niezwykłą niespodziankę. Nasze miasto odwiedził Nicholas McGegan, jeden z bohaterów mojej muzycznej młodości, gdy po upadku PRL na rynku pojawiły się pierwsze CD, a na nich, między innymi, pierwsze zachodnie nagrania muzyki dawnej na dawnych instrumentach. CD były wtedy strasznie drogie wobec naszej postkomunistycznej siły nabywczej, ale miło było patrzeć w te futurystyczne lusterka, których nigdy nie zetrze żadna igła. Jednym z najważniejszych okien na muzyczną nowoczesność wykonawczą muzyki dawnej była w tych czasach francuska firma Harmonia Mundi, która zresztą do dziś ma honorowe miejsce wśród moich i zapewne nie tylko moich muzycznych zakupów.

Jeśli chodzi o muzykę barokową, w katalogu Harmonii Mundi kusiły nazwiska Philippe'a Herreweghe i Williama Christie. Artyści ci chyba już wtedy sięgali również po muzykę klasycystyczną. Nicholas McGegan posiadał w katalogu HM pokaźną liczbę nagrań, głównie handlowskich, w tym premiery fonograficzne, często oblepione licznymi nagrodami magazynów muzycznych. Mimo to, muszę przyznać, traktowałem jego interpretacje nieco po macoszemu, podobnie jak moi znajomi melomani. Nicholas McGegan wydawał się być zwykły i nieco zbyt „normalny” na tle szaleństw takiego choćby Williama Christie'ego. Jednocześnie zupełnie na opak ocenialiśmy współpracę McGegana z Capella Savaria, przez kilka lat najlepszym wśród demoludów zespołem muzyki dawnej. Dzięki węgierskim winylom z Capellą Savarią jeszcze w czasach PRL mogliśmy brać pełnoprawnie udział w ruchu muzyki dawnej jako słuchacze. Początki transformacji były jednak czasami, kiedy to co dawne i nasze było mało atrakcyjne, zaś nowinki z Zachodu były godne każdej ceny. Tymczasem McGegan nie był

nowinką, gdyż już wcześniej rozwinął współpracę z Węgrami, co z dzisiejszej perspektywy muszę ocenić jako rzecz wspaniałą, bo dzięki niemu zza Żelaznej Kurtyny mogliśmy jednak brać pełnoprawny udział w ruchu muzyki dawnej. Zresztą kupiłem jakiś czas temu na CD wznowienie vivaldiowskich nagrań Capelli Savarii z tamtych czasów i zachwyciły mnie wspaniałe głosy węgierskich solistów, może zbyt operowe, ale za to porządne.



Nicholas McGegan/ fot. RJ Muna

James Nicholas McGegan urodził się w roku 1950 w angielskim miasteczku Sawbridgeworth, położonym jakieś 30 km na północny wschód od Londynu. Oksford, też położony na północy, znajdował się dalej od tej miejscowości, co nie przeszkodziło McGeganowi studiować na tej zacnej uczelni. Szkoda, że o tym nie wiedziałem, gdy kręciłem nieco nosem na „zwykłe” nagrania McGegana, z pewnością przysłuchałbym się im bardziej jako

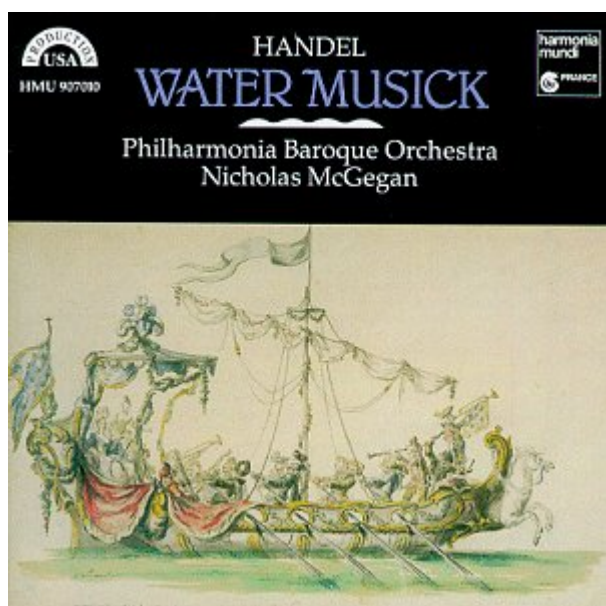
miłośnik innych oksfordczyków, których zapewne McGegan spotykał jako student muzyki. Pierwszy na myśl przychodzi mi Tolkien. Swoją karierę jako wykonawca muzyki dawnej McGegan zaczynał jako flecista. Usłyszemy go choćby na nagraniach symfonii Mozarta pod batutą Christophera Hogwooda, który swoją drogą zaczynał nie tylko jako klawesynista, ale również jako... perkusista średniowieczny. I to jaki! Zespołem który na stałe jest związany z McGeganem jest Philharmonia Baroque Orchestra, założona w 1981 roku przez klawesynistkę, dyrygentkę i nauczycielę Laurette Goldberg (1932-2005). Już w 1985 nad tą orkiestrą z San Francisco zapanował Nicholas McGegan, dokonując licznych nagrań. W latach pionierskich dla wykonawstwa muzyki dawnej panowało przekonanie, że Amerykanie, jako naród nowy, nie mogą tak dobrze czuć muzyki dawnej jak Anglicy, Francuzi czy Holendrzy. Czyż Amerykanin William Christie nie przeniósł się na stałe do Francji, aby tam stać się być może największym wśród barokowców? Perspektywa czasowa pozwala jednak spojrzeć na wiele zjawisk bardziej obiektywnie i dziś wypada traktować Amerykanów, jak i Kanadyjczyków, jak i wielu Latynosów, jako jednych z pionierów wykonawstwa muzyki dawnej.



We Wrocławiu jednakże McGegan nie wystąpił z Wrocławską Orkiestrą Barokową, ale z Wrocławskimi Filharmonikami. I tu też zostałem zaskoczony. Już w latach 1993 – 1998 McGegan został pierwszym dyrygentem gościnnym znakomitego zespołu Scottish Opera w Glasgow, grającego na normalnych, niehistorycznych instrumentach w niepoinformowany historycznie sposób. Innym moim zaskoczeniem było istnienie obecnie labelu Philharmonia Baroque, gdzie McGegan i jego orkiestra z San Francisco gromadzą swoje najnowsze dokonania.

Po tej podróży przez czas i przestrzeń pora wreszcie wylądować na lądowisku chwili obecnej (a w zasadzie wczorajszej), gdy Nicholas McGegan zjawił się przed orkiestrą NFM Filharmonia Wrocławska. Wrocławscy Filharmonicy, którzy ostatnio

zabrzmieli selektywnie i sprężyście pod Giancarlo Guerrero otwierając sezon, tym razem brzmiali zupełnie inaczej, ale również wspaniale i stylowo. Ich brzmienie stało się ciepłe, swobodne, jakby nieco improwizowane, niespieszne i pełne nastroju. Choć grali na nowych instrumentach, brzmiało to wszystko bardzo stylowo i autentycznie.



Koncert zaczął się od Uwertury do opery Anacréon Luigiego Cherubiniego (1760–1842), jednego z najbardziej cenionych twórców swoich czasów. Cenionego również, i to bardzo, przez Beethovena, a to najlepsza rekomendacja z tych możliwych. Mimo to znajoma krytyczka muzyczna zasugerowała w jednej ze swych recenzji, że (parafrazując) „skoro ubogi harmonicznie Cherubini podobał się Beethovenowi, to pewnie dlatego, że i sam Beethoven miewał momenty muzycznych zasłabnięć”. Można takie impresje ciągnąć dalej – Bernini (czasem?) nie umiał rzeźbić, Rubens malować, Szekspir pisać... Tylko kto, jak nie oni? Cherubini doczekał się jednak niesprawiedliwych i gorzkich słów również od swojego ucznia, Berlioza, który wykuł z niego przekomiczną pajacowatą postać w swoich świetnych literacko pamiętnikach. Mimo to nawet Berlioz cenił twórczość

Cherubinięgo, wmuszając między innymi uwerturę do Anacréono paryskiej publiczności gdy klasycyzm już nie był modny.. Uwertura jest oczywiście znakomita, rzeczywiście mocno „otwierająca”. Dużą rolę pełni w niej blacha, która w wydaniu Wrocławskich Filharmoników była błyskotliwa i bezbłędna. Jeśli chodzi o Cherubinięgo, to polecam komplet jego mszy pod Mutim, są to arcydzieła i oczywiście Medeę z Marią Callas. Mam nadzieję, że Callas doczeka się kiedyś kontynuatorki, równie wielkiej i równie oddanej muzyce, aby Cherubini już na dobre wrócił do repertuaru operowego. To świetna muzyka, Beethoven miał oczywiście rację, zaś Wrocławscy Filharmonicy dzięki świetnemu wykonaniu z pewnością zainteresowali Cherubinięgo niejednego melomana wśród tych zgromadzonych w Sali Głównej NFM.





Po Cherubinin usłyszeliśmy innego ciekawego twórcę działającego na granicy klasycyzmu i romantyzmu. Koncert fagotowy F-dur WoO 23, S. 63 Johanna Nepomuka Hummela (1778–1837) zagrała Katarzyna Zdybel-Nam, wybitna fagocistka związana między innymi z naszymi Filharmonikami. Grała znakomicie, z ogromną swobodą, lekkością i gdy trzeba siłą wyrazu. Hummel doskonale wykorzystał możliwości instrumentu solowego, tworząc pełny, bogaty i inteligentny koncert romantyczny. Nicholas McGegan wraz z Filharmonikami Wrocławskimi akompaniował po mistrzowsku, choć przecież fagot nie jest najwygodniejszym instrumentem do oplatania go orkiestrą z uwagi na stosunkowo małą dynamikę. Tu tymczasem

nie było najmniejszych nawet problemów z zakrywaniem brzmienia fagotu, zaś Hummel zostawił orkiestrze sporo ciekawych zadań – wchodziła ona między innymi w dialogi z instrumentem solowym. Piękne były skrzące się pasaże solistki, oraz efektowne zjazdy w niskie tony, które na fagocie brzmią majestatycznie i imponująco, przecząc nadanej fagotowi zbyt pochopnie roli wiecznego wesołka.

Drugą część koncertu wypełniła sławna Symfonia g-moll KV 550, nr 40 Mozarta. Melodia budująca pierwszą część tego arcydzieła należy chyba do najpiękniejszych i najbardziej znanych melodii dostępnych ludzkości. Nigdy się zresztą nie nudzi. Cóż ona może wyrażać? Pęd, melancholię, dumę a może los? Istnieje chyba odrębny rodzaj nastroju, uczucia i emocji który można nazwać mozartowskim i pochodzi on nie z tej Ziemi. Nicholas McGegan skupił się w pierwszej części na ukazywaniu bogactwa pomysłów Mozarta, na jego intelektualizmie i filozoficznej wręcz zadziorności. Trochę zabrakło mi płynności przebiegu, ale coś za coś. Druga i trzecia część były po prostu doskonałe. Drugą zdominowało szukanie miejsc w przestrzeni, jakaś nieziemski podróż w nieznane. Trzecia część wyrastała z tego nastroju i dopowiadała go w menuecie. Finał był bardzo udany i efektowny. Znakomita interpretacja. Mam nadzieję, że Nicholas McGegan częściej nas będzie odwiedzał, zwłaszcza, że Wrocławscy Filharmonicy to obecnie naprawdę atrakcyjny materiał dla dobrych dyrygentów.